

ZA POMOC ŻYDOM OSADZENI W WIĘZIENIU RADOMSKIM

W okresie okupacji niemieckiej przez cele więzienia przy ul. Malczewskiego w Radomiu przeszło blisko 17 tys. osób. Dla wielu z nich pobyt w tym więzieniu oznaczał początek drogi zakończonej śmiercią podczas egzekucji, w obozie koncentracyjnym lub obozie pracy. Ci, którym udało się odzyskać wolność, wchodzili w powojenną rzeczywistość z tragicznymi wspomnieniami, i nie byli w stanie wymazać ich z pamięci przez długie lata. Wśród więźniów tych znajdowali się również Polacy aresztowani przez niemieckie władze okupacyjne za pomoc udzielaną Żydom.

Więzienie radomskie, funkcjonujące w stolicy dystryktu, stanowiło w latach 1939–1945 zarówno miejsce odbywania kar dla osób skazanych przez sądy różnych szczebli, jak i areszt dla więźniów znajdujących się w dyspozycji policji bezpieczeństwa (Sicherheitspolizei). Ulokowane w dawnych obiektach klasztornych, było przeznaczone teoretycznie dla 300 osób, ale jego stan liczebny sięgał niejednokrotnie 1,2 tys. więźniów. Oprócz braku kanalizacji i ogrzewania, przeludnionych cel, katastrofalnych warunków higienicznych i żywnościowych więźniowie byli narażeni na stałe represje ze strony niemieckich strażników – bicie, zmuszanie do wycieńczających ćwiczeń fizycznych, rewizje i inne szykany. Dla wielu osób przesładowania te stanowiły tylko wstęp do morderczych przesłuchań w budynku komendy policji bezpieczeństwa przy ul. Kościuszki, których konsekwencją była często śmierć w jednym z podradomskich miejsc masowych straceń lub też wywózka do obozu koncentracyjnego.

Wczesną jesienią 1942 r. zaczęto osadzać w celach radomskiego więzienia Polaków aresztowanych pod zarzutem udzielania pomocy osobom narodowości żydowskiej. Należeli do nich mieszkańcy Szydłowca, starający się pomóc Żydom przebywającym w tym mieście. Jak podkreślano w licznych relacjach dotyczących zagłady, szydłowieckie getto było na mapie dystryktu radomskiego miejscem wyjątkowym. Chociaż uwięzieni w nim ludzie dzielili tragiczny los swych współwyznawców, wielu z nich pracowało przymusowo w działających pod nadzorem niemieckim garbarniach, zaopatrując też czarny rynek w ogromnie poszukiwane skóry podeszwowo. Wśród mieszkańców getta znajdowała się zatem grupa osób stosunkowo zamożnych, będących w stanie zapłacić wiele za szansę ratunku, jaką dawano zdobycie polskich dokumentów.

Nie jest przypadkiem, że Polacy byli aresztowani właśnie za próby dostarczenia mieszkańcom getta dokumentów umożliwiających ukrycie się po aryjskiej stronie. Funkcjonariusze policji bezpieczeństwa ze Skarżyska-Kamiennej 26 lutego 1943 r. doprowadzili do gmachu przy ul. Malczewskiego w Radomiu dwóch mężczyzn, z których żaden nie ukończył jeszcze dwudziestego piątego roku życia. Byli to mieszkańcy Szydłowca – kowal Wincenty Kołba

i ślusarz Marian Nazimek. W arkuszu ewidencyjnym każdego z nich jako powód aresztowania wpisano: *Ausweis fälschung für Juden*. Nie wiadomo, niestety, kto był – lub też miał być – odbiorcą tych dokumentów, czy pomoc udzielana przez Polaków miała podłoże finansowe, czy też wynikała z altruizmu, a wreszcie – w jaki sposób dowiedzieli się o niej Niemcy. „Śledztwo” prowadzone przez policję bezpieczeństwa znalazło tragiczny finał 1 grudnia 1943 r., gdy obaj więźniowie zostali zakwalifikowani do transportu skierowanego do obozu koncentracyjnego Auschwitz. W kilka miesięcy później Wincentego Kołbę przeniesiono stamtąd do Buchenwaldu, gdzie udało mu się dotrzeć do wyzwolenia. Nie znamy, niestety, losów Mariana Nazimka, który trafił do obozu Flössenburg, a stamtąd ponownie do Oświęcimia.

Kilka miesięcy później, w ostatnich dniach lutego 1943 r., do więzienia trafił kolejny mieszkaniec Szydłowca, rówieśnik Kołby i Nazimka, malarz Stefan Erbel, aresztowany z powodu próby sprzedaży Żydowi polskiego dowodu osobistego. Przebywał on w budynku przy ul. Malczewskiego zaledwie kilka tygodni, gdyż decyzją radomskiej komendy policji bezpieczeństwa wywieziono go transportem do Auschwitz 17 marca 1943 r. Erbel trafił następnie do obozu Mauthausen, gdzie dane mu było doczekać wolności.

Prawdopodobnie już nigdy nie dowiemy się, czy dzięki dokumentom otrzymanym lub też kupionym od Polaków któremuś z szydlowieckich Żydów udało się przetrwać do końca wojny. Próba „oszukania śmierci” w ten sposób nie powiodła się powszechnie szanowanemu działaczowi społecznemu i lekarzowi Lejbusiowi Dymentowi, który wydostał się z tamtejszego getta, dysponując dowodem osobistym na fałszywe, polskie nazwisko. W nieznanym po dziś dzień okolicznościach został jednak schwytany przez Niemców i osadzony w więzieniu. Jego koledzy z celi zapamiętali, że został poddany morderczym przesłuchaniom, które miały zmusić go do podania nazwisk Polaków udzielających mu pomocy. Strach przed załamaniem się w śledztwie był powodem jego decyzji o odebraniu sobie życia.

W pierwszych dniach grudnia 1942 r. do więzienia doprowadzono Annę i Wincentego Buzowiczów – młode małżeństwo z Kozienic. Mężczyzna był z zawodu stolarzem, a jego żona zajmowała się prowadzeniem domu. Lakoniczne zapisy w arkuszach ewidencyjnych więźniów nie pozwalają ustalić, komu nieśli oni pomoc i jakie były jej formy. W dokumentach Anny zapisano jedynie, że „ukrywała” Żydów, a w dokumentach Wincentego, że „przewoził” osoby narodowości żydowskiej. Śledztwo w sprawie aresztowanych, prowadzone przez radomską komendę policji bezpieczeństwa, trwało blisko pół roku. Miało ono tragiczny finał – małżonkowie stanęli przed Sądem Specjalnym, który skazał ich na karę śmierci. Już po ogłoszeniu wyroku władze niemieckie wyraziły zgodę, by skazańcy sporządzili testamenty, spisane następnie przez jednego z radomskich notariuszy. W realiach więziennych była to decyzja zupełnie wyjątkowa. Nie mogła ona jednak wpłynąć w żaden sposób na losy małżeństwa, rozstrzelanego w sierpniu 1943 r. w jednym z podradomskich miejsc masowych straceń.

Daty zapisów w dokumentach więziennych sugerują, że ze sprawą Buzowiczów mogło być związane aresztowanie kozieniczanki Marii Różańskiej, oskarżonej o sprzedaż osobie narodowości żydowskiej własnego dowodu osobistego. Przebywała ona w celi Oddziału Kobiecego blisko rok. Potem została przeniesiona do wydzielonej części gmachu przy ul. Malczewskiego, w której mieścił się Oddział Specjalny, nadzorowany bezpośrednio przez funkcjonariuszy policji bezpieczeństwa. Chociaż jej dalsze losy pozostają nieznanne, jest bardzo wątpliwe, by udało jej się doczekać końca wojny.

W Wigilię Bożego Narodzenia 1942 r. funkcjonariusze polskiej policji granatowej doprowadzili do więzienia chłopkę Wiktorię Paduch, zamieszkałą w Wójtostwie Poduchownym

k. Kozienic. Możemy domniemywać, że w należących do niej zabudowaniach znaleziono uciekinierów z getta, gdyż powodem aresztowania i późniejszego wyroku stało się „zapewnienie schronienia dla zbiegłych Żydów”. Po trwającym ponad pół roku śledztwie kobieta stanęła przed Sądem Specjalnym, otrzymując najwyższy wymiar kary. Wyrok ten został wykonany w sierpniu 1943 r. Razem z nią aresztowano Jana Gieruszkę, ale w materiałach archiwalnych nie zachowały się informacje na temat tego więźnia.

Być może, znajomymi tych ostatnich osób było troje mieszkańców Kozienic, osadzonych w więzieniu w styczniu 1943 r.: robotnica Ludwika Kostrzeba, ślusarz Jerzy Burghardt i fryzjer Paweł Wachłaczhenko. Zostali oni aresztowani przez kozienicką żandarmerię w związku z „uzasadnionym podejrzeniem” udzielania schronienia osobom narodowości żydowskiej. W przypadku Wachłaczhenki zachowały się informacje mówiące, że ułatwiał on Żydom ucieczkę z getta i kierował ich do Szydłowca. Był członkiem którejś z organizacji konspiracyjnych i działał, być może, na jej rozkaz. Żołnierzem ruchu oporu był też Jerzy Burghardt. Obaj mężczyźni zostali wywiezieni do obozu koncentracyjnego Auschwitz, skąd rok później Pawła Wachłaczhenkę przeniesiono do podobozu *Konzentrationslager Flössenburg* w czeskich Litomierzycach, gdzie udało mu się doczekać wyzwolenia. Jerzy Burghardt trafił do obozu Mauthausen, gdzie prawdopodobnie zginął. Trudno powiedzieć, jak potoczył się los Ludwiki Kostrzeby. Chociaż wpisy w arkuszu ewidencyjnym tej więźniarki informują, że została ona zwolniona z więzienia jeszcze w kwietniu 1943 r.

Sprawami sądowymi, w których zapadły wyroki śmierci, zakończyły się śledztwa wobec kilku innych osób, które w okresie okupacji trafiły do cel gmachu przy ul. Malczewskiego w Radomiu. Pierwszą z nich był robotnik ze Starachowic, Stanisław Kucharski, aresztowany w marcu 1943 r. za ukrywanie osób narodowości żydowskiej. Bardzo szybko, bo już półtora miesiąca później, Sąd Specjalny skazał go na karę śmierci. Wykonanie wyroku odłożono jednak w czasie, gdyż bliscy skazańca podjęli starania o ułaskawienie go przez generalnego gubernatora. Wysiłki okazały się bezowocne.

Hans Frank zdecydował się jednak zastosować prawo łaski wobec dwóch innych więźniów udzielających pomocy Żydom. Warto podkreślić, że przyczyną takiej postawy nie był humanitaryzm – raczej megalomania, powodująca sięgnięcie do prerogatyw przysługujących jedynie monarchom i głowom państw. Tym niemniej uratowała ona życie ślusarzowi Władysławowi Tyczyńskiemu, który ukrywał dyrektora radomskiej odlewni żelaza „Stella”, Jakuba Silbersteina, i jego kilkunastoletniego syna. Frank zdecydował zamienić karę śmierci na rok pozbawienia wolności. Po odbyciu tej kary Władysław Tyczyński został zwolniony z więzienia. Drugim ułaskawionym był robotnik leśny z Rudy k. Kozienic, Tadeusz Rydel, który po kilku miesiącach od wydania wyroku kary śmierci odzyskał wolność.

Jak informują dokumenty, Sąd Specjalny w Radomiu orzekł w sprawach Polaków udzielających pomocy Żydom nie tylko karę śmierci, ale także kary pozbawienia wolności. Ponieważ nie zachowały się akta rozpraw, możemy jedynie przypuszczać, że w tego typu przypadkach „winą” oskarżonych nie było ukrywanie zbiegów z gett, ale np. jednorazowe dostarczenie im żywności, odzieży lub pieniędzy czy też ułatwienie dotarcia w określone miejsce. Karę roku pozbawienia wolności za tego rodzaju „przestępstwa” otrzymał rolnik z okolic podradomskiego Wolanowa, Czesław Kaleta, oraz Czesław Nagiel (prawdopodobnie mieszkaniec Warszawy), zatrzymany w Sandomierzu lub jego okolicach za przewożenie osób narodowości żydowskiej.

Nawet drobne formy pomocy, wynikające z czystego altruizmu, pociągały za sobą osadzenie w obozie koncentracyjnym. Los taki spotkał magazyniera jednego z radomskich

zakładów przemysłowych, Marcina Kowalika, który w styczniu 1943 r. w nieznanych okolicznościach przyjął od Żyda list, zapewne zobowiązując się dostarczyć go adresatowi. Schwytanego przez policję bezpieczeństwa Polaka wywieziono wkrótce do obozu koncentracyjnego Auschwitz, gdzie został zamordowany. Transportem z marca 1943 r. do obozu tego trafiła również krawcowa z Radomia, Anna Michałowska, aresztowana wraz ze swą siostrą Marią Gregorczyk za „udzielanie pomocy” osobom narodowości żydowskiej. Do dziś nieznaną jest los ślusarza ze Skarżyska-Kamiennej, Konstantego Walerowicza, który z Auschwitz został przeniesiony do obozu w Buchenwaldzie. Nie wiemy także, co stało się z policjantem z Grabowa nad Wisłą, Bolesławem Waścińskim, który „pomagał” nieznaną z imienia i nazwiska Żydówce, za co po kilkumiesięcznym pobycie w więzieniu trafił do obozu pracy przymusowej w Dębicy.

Bardzo trudne warunki życia w więzieniu, katastrofalnie słabe wyżywienie, pojawiające się epidemie i brak opieki medycznej sprawiały, że wielu osadzonych zapadało na poważne choroby, nierzadko kończące się zgonem. Śmierć w celi lub więziennym szpitalu była też bardzo często skutkiem morderczych przesłuchań w siedzibie radomskiej komendy policji bezpieczeństwa. Wymuszaniu zeznań towarzyszyły bicie i wymyślne tortury z użyciem specjalnych urządzeń. W gmachu przy ul. Malczewskiego życie zakończyły co najmniej dwie osoby aresztowane za udzielenie pomocy Żydom. Jedną z nich była robotnica z Zawichostu k. Sandomierza, Alina Kaczmarska. Dwudziestotrzyletnia kobieta przebywała w więzieniu w Sandomierzu prawdopodobnie od połowy 1942 r. Zatrzymano ją za „nielegalne przewożenie Żydów”. W październiku została przeniesiona do Radomia. Lakoniczna notka na arkuszu ewidencyjnym informuje, że Alina Kaczmarska zmarła w celi szpitalnej 4 lutego 1943 r. Chociaż przyczyna zgonu nie została podana, należy wątpić, by była nią choroba. W grę wchodziło raczej samobójstwo, a jeszcze bardziej prawdopodobne jest, że zgon był wynikiem obrażeń wewnętrznych odniesionych przez więźniarkę w czasie przesłuchań. Jan Zawodnik ze wsi Śmietanki k. Kozienic, być może, ukrywał lub też wspierał w jakiś inny sposób kozienickiego Żyda Joela Littmana. Po zatrzymaniu przez żandarmerię i pobycie w jej areszcie, w sierpniu 1943 r. został on doprowadzony do więzienia w Radomiu. Zmarł tutaj osiem miesięcy później z powodu choroby serca.

Dużą grupę więźniów oskarżonych o udzielanie pomocy Żydom stanowiły osoby, którym udało się uniknąć śmierci w egzekucji lub też wywiezienia do obozu koncentracyjnego i odzyskać wolność. Nie jesteśmy już dzisiaj w stanie stwierdzić, dlaczego funkcjonariusze niemieckiej policji decydowali się czasami uwalniać ludzi aresztowanych z powodu „przestępstw” zagrożonych najwyższym wymiarem kary. W każdym z takich przypadków głos decydujący należał do oficera prowadzącego śledztwo, który kilkakrotnie przesłuchiwał więźnia. Jeżeli oficer uznał, że aresztowana osoba działała nieumyślnie albo – ze względu na brak predyspozycji intelektualnych – nie rozumiała, że sprzeciwia się rozporządzeniom władz, mógł zamknąć postępowanie, zwalniając osadzonego.

Niektórzy więźniowie byli zatrudnieni w gałęziach administracji o dużym znaczeniu dla polityki okupantów (sądownictwo, administracja leśna itp.) lub też w zakładach przemysłowych pracujących na potrzeby maszyny wojennej Rzeszy. W takich wypadkach zdarzało się niekiedy, że za aresztowanym wstawał się jego kierownik lub dyrektor, podkreślając, że dana osoba jest niezbędna dla sprawnego funkcjonowania urzędu lub fabryki. Dużą rolę odgrywały również zabiegi rodzin starających się dotrzeć przez znajomych Niemców lub folksdojczów do konkretnego oficera i podjąć próbę wręczenia mu łapówki. Wiemy, że niektórzy z funkcjonariuszy policji bezpieczeństwa byli skłonni przyjmować tego rodzaju

„prezenty” nie tylko za zwolnienie danej osoby, ale choćby za to, by nie była ona bita podczas przesłuchań. Warto jednak podkreślić, że chociaż niektórym Polakom osadzonym w gmachu przy ul. Malczewskiego za pomoc Żydom dane było powrócić stamtąd do swych domów, ich zwolnienie następowało zazwyczaj po kilku miesiącach od daty doprowadzenia, gdy więźniowie odczuwali już bardzo dotkliwie fizyczne i psychiczne skutki pozbawienia wolności.

Sytuacja taka miała miejsce np. w 1942 r., kiedy to w więzieniu osadzono chłopa z okolic Wolanowa, Romana Radulskiego, za to, że „przyjął Żyda na wóz”. Zanim wrócił do domu, spędził w celi blisko cztery miesiące. Na kilka tygodni przed likwidacją getta w Białobrzegach, do więzienia doprowadzono miejscowego adwokata Romana Mazanowskiego. W jego dokumentach wpisano, że powodem aresztowania była „obrona Żyda”, można więc przypuszczać, że podjął się on reprezentowania interesów osoby narodowości żydowskiej w którejś ze spraw toczących się przed tamtejszym sądem grodzkim. Wiele szczęścia miał też mieszkaniec Radomia, Władysław Pasek, zatrzymany w 1942 r. za „przenoszenie korespondencji Żydom” – spędził on w więzieniu niespełna trzy tygodnie i uzyskał zwolnienie. Pod zarzutem ukrywania zbiegów z gett zostali zatrzymani także m.in.: radomianin – Helena Niwińska i Bolesław Gołosz; mieszkanka okolic Jedlińska – Helena Maliszewska; gajowy ze Stromca – Marian Lisowski oraz mieszkaniec Zwoleń – Stanisław Pilecki.

W niekompletnych i zawierających tylko lakoniczne dane dokumentach więzienia radomskiego zachowały się informacje o ponad trzydziestu Polakach, represjonowanych za pomoc udzielaną Żydom. Wiemy o nich bardzo mało. Być może, w przyszłości uda się przybliżyć i opisać drogi życiowe przynajmniej niektórych z nich. Ich postawy i tragiczne losy z pewnością na to zasługują.

OBWIESZC

*Przeplakalowo
na wiezieni 10 dni
9/9- godz. 10. -
H. M.*

Dotyczy kary śmierci za wspieranie żydów, którzy przekroczyli

W ostatnim czasie większa ilość żydów wydostała się bez uprzedzenia z dla nich

Przypominam, że trzecie rozporządzenie Generalnego Gubernatora z dnia 15.10.1941 r. za przekroczenie granicy dzielnicy żydowskiej, ale każdy, kto w jakikolwiek sposób dopomaga uważa się tylko przenocowanie ich i wyżywienie, ale również przewożenie ich jakimkolwiek